

Jerzy Binkowski

Czy duchowość jest niewidzialna?

Oczywiście, duchowość jest niewidzialna. Czy ktoś widział duchowość? Czy ktoś widział gorączkę? Też jest niewidzialna. Natomiast wszyscy, jak żyjemy, znamy objawy gorączki. Mimo tej samej temperatury wskazywanej przez termometr, objawy przy tej samej wysokości wskaźnika bywają różne u różnych osób. Objawy, nawet u tej samej osoby, a przy wskaźniku np. 38,9°C, bywają różne w odmiennych okolicznościach.

Żeby zaprezentować objawy swej duchowości, osoba musi mieć podwyższoną temperaturę serca. Wskaźnikiem temperatury serca jest dynamiczne życie wewnętrzne. Wśród tłumu ludzi, wśród sąsiadów z dzielnicy, bloku, klatki schodowej albo wśród mieszkańców powiatu, miasteczka, okolicznych wsi (lub w konkretnej wsi) wyodrębni się ta osoba, która zaznaczy swoje indywidualne cechy, konkretne sprawności, decyzje, talenty, wartości, którym podporządkowuje styl i jakość swego życia.

To jednak nie wszystko. Więc co musi się wydarzyć, aby duchowość zobaczyć? Chcę Państwa przeprowadzić przez 45 lat zmagania własnych o satysfakcjonujące odnalezienie samego siebie w społeczności małych miejscowości.

Po raz pierwszy zobaczyłem okolice Janowa, gdy przyjechałem z Gdyni, aby złożyć u Księdza Proboszcza „na za-

powiedzi". Kościół, owszem, piękny. Pierwszymi osobami, z którymi rozmawiałem, byli moi przyszli teściowie, mieszkający w Trofimówce, kolonia nr 54. Dom z dala od wsi – kolonia Trofimówka. Około 5 km od kościoła. Obejście czyste. Słychać odgłosy zwierząt. W domu czyściutko. Okap pieca osłonięty białym a haftowanym „bieżniczkim”. Przy piecu Pani domu w białym fartuszk przysłaniającym codzienne odzienie. Jeszcze przed ucałowaniem i przed oświadczeniem, że przyjechałem prosić o rękę jej córki, zauważyłem, że stół w kuchni okryty jest jasnym obrusem. Powitanie było życzliwe i ośmieliło mnie, abym udał się do stajni, gdzie przebywał pan gospodarstwa. Przyszła żona zadbała o jeden szczegół. Podała mi dyskretnie butelkę wódki, bym ją wręczył tacie. Uścisnąłem jego wielką twardą dłoń. I tak się zaczęła ballada, która trwa już prawie 50 lat.

Okazało się, że nie słowa stanowią istotę kontaktu między teściami a zięciem. Szybko zorientowano się, że jestem człowiekiem, którego trzeba wszystkiego uczyć. Nie dawano mi kosa do ręki, nie zakładałem uprzęży na kark koniom, nie powoziłem ukochanymi przez teścia końmi, nie orałem o wczesnym poranku, ale ładowanie albo układanie siana czy zboża na wozie drabiniastym szło mi przyzwyczajenie. Wrzucanie siana na piętro w stajni również opanowałem. Nauczono mnie robić tzw. przewiąsła przy zbiorze żyta lub pszenicy, idąc za kosą lub żniwiarką. Chciałem również polubić zbieranie truskawek, rwanie czarnej porzeczk, zbieranie i zwożenie ziemniaków, ale nie udało mi się poczuć w tej robocie jakiegokolwiek przyjemności. Dominowało poczucie powinności. Powinienem pomagać rodzicom żony! Wieczory i noce przy młockarni wspominam jako swój największy koszmar: pot zalewał mi oczy i twarz brudną od kurzu. Ramiona omdlewały, a w głowie świat wirował jak oszalały. Wytrzymałem do nocy jedynie dlatego, że wkoło młockarni („damfy”) oprócz mężczyzn pracowały także kobiety.

Dość szybko zorientowałem się, że dla teścia jestem jednym wielkim rozczarowaniem, tym bardziej że nie dołączałem do okolicznościowych popijawek. Wódka na stole była naturalną formą podziękowania za pracę sąsiadów przy sianokosach, żniwach, przy młóceniu zboża do późnych godzin nocnych. Teściowie w innym czasie pomagali tym sąsiadom z kolonii, którzy im pomagali. Wyraźnie czułem, że nie jestem jednym spośród nich. Byli wspólnotą zamkniętą. Nie byli otwarci względem mnie. Nie byli gościnni.

Dopiero po latach zrozumiałem, dlaczego we mnie zrodził się sprzeciw wobec powszechnego twierdzenia, że ludzie Białostoczczyzny charakteryzują się szczególną gościnnością. Nie stwierdzałem żadnej nadzwyczajnej gościnności mieszkańców domostw rozsianych co kilkaset metrów na kolonii. Jednak z pewnością istniał pewien bilans współpracy. Ja nie chodziłem do sąsiadów, aby im pomagać w pracy. Na dodatek nie miałem zwyczaju picia alkoholu. Spotykając ich, nie zatrzymywałem się na zwyczajowo długie pogaduchy, wymianę informacji, doradztwo dobrosąsiedzkie na temat psujących się maszyn czy ciągników. Uprawianie ziemi, sianie, sadzenie – to nie był mój świat. Hodowla świń, krów, owiec, ptactwa domowego – wszystko to było obce moim zainteresowaniom. I o czym mogłem z sąsiadami zwyczajnie plotkować? Jednocześnie oni rozmawiali ze sobą językiem tutejszym. Nie znałem historii rodzin, ich dramatów i sukcesów. Przez wszystkie kolejne lata czułem się obco i byłem obcym dla sąsiadów „kolonijnych”. Pewnie także dla mieszkańców odległej wsi – Trofimówki – byłem jedynie mężem Kolosówny, którego widziano przy niej na niedzielnych Mszach świętych i innych uroczystościach religijnych. Także na pogrzebach.

Teraz już wiem, że wiele straciłem. Nie żyłem z poczuciem przynależności do społeczności lokalnej. Przez całe lata przyczyny poczucia izolacji przypisywałem „tutejszym” – ludziom zakompleksionym, nieufającym, ostrożnym i kalkulu-

jącym. Teraz wiem, że to były moje cechy. Żałuję, że długo nie rozumiałem, iż gościnność sąsiadów na kolonii wzrasta proporcjonalnie do mojej aktywności na rzecz sąsiadów! Szkoda, że szybciej nie odkryłem mechanizmu wzrostu sympatii wobec drugiego człowieka.

Najbardziej kocha się tę osobę, której podarowało się z siebie najwięcej – swój czas, uważność, troskę, czułość, odwagę, wytrwałość, mądrość. Teraźniejszość jest poligonem walki o najpełniejszą, najpiękniejszą wersję siebie samego.

Rzeczywistość społeczną naszej ojczyzny prawdziwie pokochamy, jeżeli wydzierać z siebie będziemy pracę na najwyższych obrotach zawsze indywidualnych możliwości. Wskaźniki naszego oddania ojczyźnie możemy kształtować jedynie przez ofiarną pracę na rzecz najbliższych, tych na wyciągnięcie ręki.

Duchowość katolika jest niewidoczna, nierozpoznawalna dopóty, dopóki czynami nie oznajmi „światu”, że wie, do czego nas zobowiązuje Bóg. Powołani zostajemy do służby Bogu, a nie można tej służby uformować inaczej, jak jedynie przez służbę najbliższym. Czasami są to słowa, począwszy od najprostszych: proszę – przepraszam – dziękuję – ufam – wierzę – wybaczam – żałuję.

Niekiedy stajemy przed zadaniami i czynami, które przekraczają wyobrażenie o naszych zdolnościach. Wtedy staje się cud poczucia radosnej godności, że swoje schematyczne granice przekroczyliśmy. Dopiero wtedy rodzi się głęboka więź, którą po upływie czasu rozpoznajemy jako prawdziwą miłość. Dałem się rozpoznać rodzinie, ale nie znajdowałem wtedy klucza do otworzenia siebie na wspólnotę lokalną.

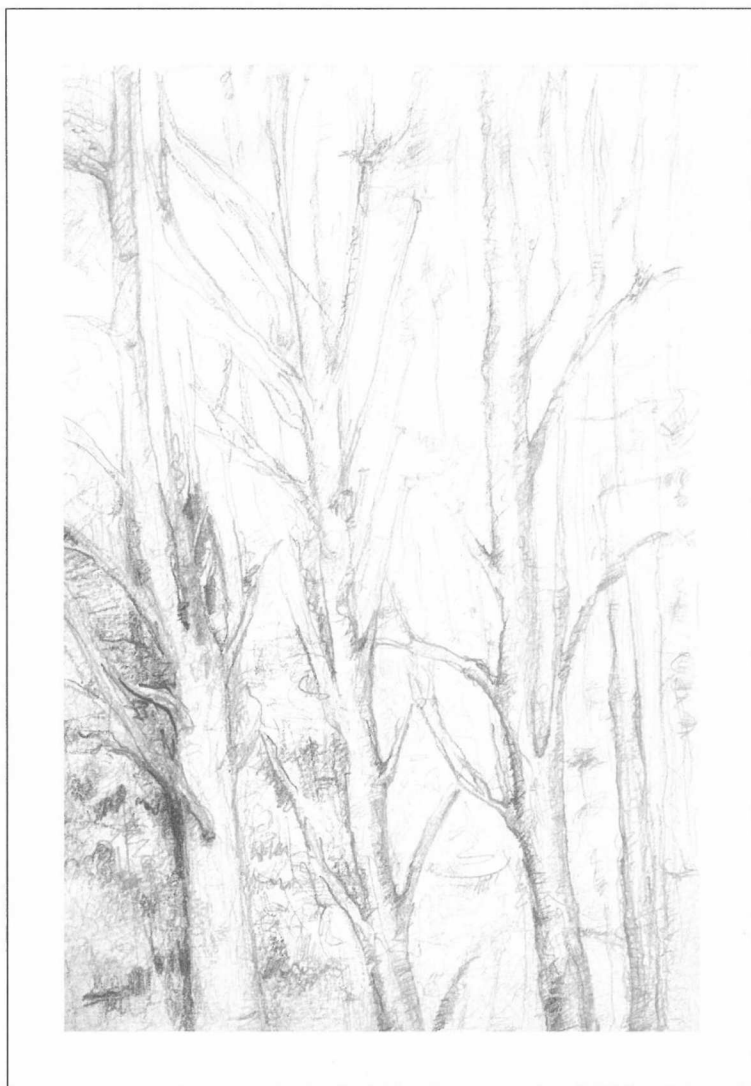
Faktem jednak jest szokujące mnie pogłębienie więzi duchowych z rodzicami mojej żony. Zostaliśmy bez nich po 25 latach życia we wspólnocie współpracy, jaką stworzyliśmy. Olimpia i Henryk na kolonii 54 wsi Trofimówka i my, dojeżdżający, aby im pomagać. Pisałem wiersze, tęskniąc

za Rodzicami mej żony – Janiny, za ich duchami, za ich sylwetkami obecnymi w mojej pamięci, znajdując się w Ekwadorze, w okolicach miasta Cuenca, w Andach – w górach na wysokości około 3600 m n.p.m. Uśmiechając się do siebie, parafrazowałem fragment z inwokacji w „Panu Tadeuszu”:
Polsko, ojczyzno moja, dziś piękność twą w całej ozdobie
widzę i opisuję, bo tęsknię ku tobie.

Pisałem poniżej umieszczone wiersze z poczuciem samotności, w żywiole przyrody absolutnie nieznannej i tym samym obcej. Oddychałem na takiej wysokości z ogromnym trudem. W nocy nie mogłem zasnąć. Tęskniłem, więc pisałem:

Tato Henryk

Prawdziwie męski kaprys:
ogier duży jak stodoła
i pociągowe mleczne klacze
ze źrebakami rasy sokólskiej
Mówiłem do Ciebie – Tato –
do obcego człowieka
który pokazał jak się pracuje
na śmierć i życie
Z Tobą powtórzyć chciałbym wszystko:
piaszczyste drogi kurz dudnienie kopyt
wjazd furą na klepisko
zwalanie snopów pachnących rżyskiem
Nie budowałeś murów
pomiędzy sobą i światem
podnosiłeś te owoce
które spadły po Twojej stronie płotu
Basowy pomruk pszczół na łąkach
woń jabłek obok domu w sadzie
kryształowy dźwięk zimy pod saniami
wszystko to trudno zmieścić pomiędzy wierszami



Il. 1. Drzewa, autorstwa Stanisławy Grynciewicz

Mijały lata, aż wydarzyło się właśnie TO. Jest rok 2013. W drodze do naszego tzw. domku holenderskiego, „domku na kółkach” w Trofimówce-kolonii, jadąc trasą Białystok – Korycin – Janów, w pobliżu wsi Zabrodzie dostrzegam kąci-kiem oka jakiś niezidentyfikowany dotąd obiekt. Zatrzymuję samochód. Podchodzę do przydrożnej kapliczki-pomnika. Duże, piękne kamienie zwieńczone białą figurą dźwigającą krzyż. Na granitowej a czarnej płycie wyryto słowa hołdu wobec wszystkich osób, które zginęły w okolicach Smoleń-
ska, lecąc 10 kwietnia 2010 r. do Katynia! Zaskoczenie było kompletne, całkowite i absolutne. W Warszawie trwała walka o uznanie zdarzenia pod Smoleńskiem za dramat narodowy, a tu – „na krańcu świata” we wsi Zabrodzie ktoś zachęcał do modlitwy, a szacunek wobec tych, którzy wtedy zginęli, okazał zbudowaniem pomnika.

WSZYSTKO NA WIĘKSZĄ CHWAŁĘ BOGU
AD MAIOREM DEI GLORIAM!

Zacząłem poszukiwać osoby (kogoś), kto tego dzieła do-
konał. Jak to możliwe, pytałem samego siebie, że na biało-
stockiej wsi stoi pomnik ku czci ofiar katastrofy pod Smo-
leńskiem? Seria telefonów do Urzędu Gminy Korycin. Jedna
z kolejnych rozmówczyń powiedziała, że prawdopodobnie
zrobił to taki trochę dziwny starszy człowiek z Laskowszc-
czyny. Pojechałem do tej wsi. Dowiedziałem się, że pan
Zdzisław Misiewicz mieszka na kolonii wsi Laskowszczy-
zna, u rodziny Kozłowskich. Wyjaśniono mi, jak mogę tam
dotrzeć. Pojechałem. Zapukałem. Otworzyła mi drzwi i za-
prosiła do pięknego domu – dworku – pani Jadwiga Ko-
złowska, kobieta o niezwykle delikatnej twarzy, pięknych
oczach i spracowanych dłoniach. Powiedziała, że brat, Zdzi-
sław Misiewicz, wyszedł, że być może jest gdzieś w okolicy.
Po kilku minutach rozmowy, w której wyjaśniłem przyczynę
mego zachwytu i tym samym określiłem powód poszukiwań
Zdzisława Misiewicza, zaproponowała herbatę. Zdjęła fartu-

szek i opowiedziała mi o pasjach starszego brata: zbudował wiele kapliczek w okolicy, ale ten pomnik poświęcony Prezydentowi Lechowi Kaczyńskiemu i jego żonie Marii oraz wszystkim pozostałym dziewięćdziesięciu czterem osobom, jest największy.

Tak się zaczęła moja duchowa przygoda z Panem Zdzisławem Misiewiczem. Zorientowałem się, że jestem mu potrzebny, aby pomnik smoleński zaczął być symbolem patriotyzmu ludzi mieszkających w pobliżu. Aby wyszedł z podziemia pewnej pasywności okolicznych mieszkańców, którzy zajęci ciężką pracą własną na roli, nie dostrzegli dotąd wyjątkowości tego dzieła. Pierwszym moim uczuciem, gdy stałem przed pomnikiem i modliłem się, był podziw wobec pomysłu i zadziwienie skutecznością działania jego twórcy – wówczas osiemdziesięcioletniego. Zasugerowałem zorganizowanie uroczystego poświęcenia pomnika. Poprzez znanego mi Dariusza Piątkowskiego (zapraszał mnie, psychologa szkolnego I L.O. w Białymstoku, na lekcje wychowawcze do klasy, której był wychowawcą), posła na Sejm RP, zaprosiliśmy do udziału w uroczystości poświęcenia pomnika Jarosława Kaczyńskiego. Zdołałem przekonać ludzi pracujących w oddziale białostockim Telewizji Polskiej, aby przybyli z kamerą, a potem opublikowali materiał z uroczystości. Wnuczka Pani Jadwigi Kozłowskiej, Aleksandra, przygotowała prezentację wiersza napisanego przez brata, Franciszka Misiewicza (mieszkańca Warszawy). Nie odmówił mi zagrania na trąbce uczeń ze szkoły muzycznej w Białymstoku, Maciej Korolczuk. Z należną powagą i życzliwością pomnik poświęcił 17 maja 2014 r. ks. prałat Andrzej Gnidziejko, proboszcz korycińskiej parafii. Odczytano fragmenty listu od Prezesa Prawa i Sprawiedliwości, Jarosława Kaczyńskiego:

Szanowny Panie, Szanowni Państwo

Proszę o przyjęcie tych kilku słów, które pozwalam sobie przesłać do Zabrodzia z okazji poświęcenia pomnika Ofiar ka-

tastrofy smoleńskiej. Przesyłam je z żalem, gdyż obowiązki uniemożliwiają mi osobisty udział w tym wydarzeniu.

To, czego Pan dokonał, samodzielne wykonanie i postawienie pomnika, jak zechciał Pan napisać, na własnej ojcowiznie, budzi mój najwyższy szacunek i wzruszenie. Dziękuję Panu z całego serca za Pańską postawę, za ów wielki gest, za ten pomnik. Z okazji takiej uroczystości jak ta nie trzeba unikać patosu, przeciwnie, warto, warto zadbać, aby słowa te zostały wypowiedziane głośno: w trudnych chwilach, w czasie gdy Polska wymaga naszej szczególnej dbałości, dodaje nam otuchy świadomość, że są tacy ludzie jak Pan, bo dzięki nim jesteśmy silni, naszą wiarą, oddaniem i naszą wielką determinacją, aby spraw kraju bronić, aby stać na straży narodowej pamięci. (...)

Łączę wyrazy szacunku
Jarosław Kaczyński

Uroczystość zakończono w mieszkaniu państwa Kozłowskich. Honorowi goście zostali zaproszeni na uroczysty obiad. Był Ksiądz Prałat, posłowie na Sejm RP, Dariusz Piontkowski i Krzysztof Tołwiński, byli przyjaciele rodziny.

Gdy minął rok, dokładnie w dzień wyborów Prezydenta RP – 24 maja 2015 r. – Pan Zdzisław miał już gotowy Pomnik Katyński, który zaprojektował i postawił na innym kawałku ojcowizny – ziemi w obszarze wsi Wyłudę, na szczycie najwyższego wzniesienia w okolicy. Podstawową techniczną stronę budowy zapewniał siostrzeniec, Zbigniew Kozłowski. Przy pomocy siostry Jadwigi, siostrzeńca i jego żony Renaty, oraz Pani Sołtysowej wsi Wyłudę – Iwony Chwiećko, przygotowano ognisko z zapleczem gastronomicznym. Przyjechali z Białegostoku moi koledzy – absolwenci Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego (np. dr Wojciech Jocz z żoną Barbarą i krewna Zdzisława Misiewiczza, Barbara Wilczewska). Przyszli ludzie z pobliskich wsi. Był

wójt Korycina – Mirosław Lech i wójt Janowa – Czesław Kiejko. Przybyli kapłani sąsiednich parafii, m.in. ks. Andrzej Tałałaj z Chodorówki (przed laty katechizował w I L.O. w Białymstoku moje dzieci). Pomnik poświęcił i Mszę św. celebrował biskup Henryk Ciereszko, który przyjął zaproszenie pół roku wcześniej, na dorocznym „Opłatku” absolwentów KUL. Podczas kazania Ks. Biskup spojrzął na panoramę pół rozłożonych zielono poniżej Pomnika Katyńskiego, westchnął szczęśliwy, jak my wszyscy uczestniczący w spotkaniu liturgicznym: „Chwalcie łąki umajone, góry, doliny zielone”. Podczas Przeistoczenia panowała absolutnie piękna cisza. Promienie słońca oświetlały wzgórze. Wniebogłosy śpiewały skowronki. Ludzie przystępowali gremialnie do Komunii świętej.

Tym razem duchowość wiejskiej ludności i pobliskich miasteczek była naprawdę widoczna. Została wyniesiona, wraz ze stojącą wysoko (ok. 3,5 m) figurą Chrystusa Zmartwychwstałego.

W kolejnym roku, także w maju, podczas Mszy św. polowej celebrowanej przez ks. prałata z Korycina, Andrzeja Gnidziejko, odznaczono Pana Zdzisława Misiewicza „Orderem świętego Izydora” patrona rolników. Wyróżnienie wręczał burmistrz Janowa, Czesław Kiejko. Na uroczystości obecni byli m.in.: wójt Korycina – Mirosław Lech z żoną Teresą oraz wójt Janowa – Czesław Kiejko z małżonką Moniką. Wspólnota modlitewna serdecznie oklaskiwała oddanego tej ziemi a budowniczego kaplic i pomników – samородnego artystę Zdzisława Misiewicza.

W 2019 r. przybył ponownie Ksiądz Biskup Henryk Ciereszko. Ofiara Mszy świętej przy kamiennym ołtarzu Pomnika Katyńskiego otrzymała dodatkową oprawę: przybyli muzycy i chórzyci z Supraśla. Stało się to za sprawą drugiego siostrzeńca Pana Zdzisława – Marcina Kozłowskiego, instrumentalisty tego zespołu. Repertuar zespołu opracowuje muzyk – Janusz Fidziukiewicz. On dba o jakość



Il. 2. Pomnik Katyński, autorstwa Zdzisława Misiewicza, fot. Jerzy Binkowski

artystyczną wykonania. Zapoczątkowana przez Zdzisława Misiewicza ewangelizacja poszerzyła swe promieniowanie na osoby mieszkające w Supraślu!

Opowieść o życiu i pasji Zdzisława Misiewicza zrealizował osobistym wysiłkiem i kamerą mój przyjaciel z Konstancina pod Warszawą – Grzegorz Kutermankiewicz. Film pt. „Wszystko na większą chwałę Bogu” był prezentowany w Częstochowie, podczas Festiwalu Filmów Niepoprawnych, w siedzibie Muzeum Monet i Medali Jana Pawła II, gdzie wcześniej miałem spotkanie autorskie jako stypendysta Kard. Karola Wojtyły. Zaprosiła nas pani Anna Dąbrowska-Zajda, asystentka Krzysztofa Witkowskiego, twórcy nowoczesnego muzeum i szczodrośliwego mecenasa kultury.

Łatwo już się domyślić, że Zdzisław Misiewicz i Jerzy Binkowski byli sobie bardzo potrzebni. Dysponując zupełnie odmiennymi talentami, doświadczeniem, odmiennymi sposobami myślenia, potrafili cieszyć się wzajemnymi brakami. Jeden nie był w stanie zrobić tego, co chciał i mógł zrobić drugi. Ile myśmy godzin przegadali na tematy związane z kompozycją np. Pomnika Katyńskiego. „Ewangelizacja” kamiennymi kapliczkami z figurami Najświętszej Maryi Panny, Jezusa Miłosiernego, Jezusa Ukrzyżowanego zafascynowała nas, choć Pan Zdzisław do spotkania ze mną nigdy tak swej niezwyklej działalności nie spostrzegał. Z miłym wzruszeniem wspominam wspólne montowanie metalowego Krzyża na skrzyżowaniu (w kształcie litery Y) dróg z Janowa przez wieś Trofimówkę: w lewo do Suchowoli, w prawo do wsi Krasne, którą jadę do kolonii Trofimówka 54.

Ileż ja się nauśmiechałem z „wiejskich” gustów Pana Zdzisława, w każdą szczelinę kapliczek chcącego wetknąć sztuczny kwiatek lub jakąś figurkę aniołka. Próby wytłumaczenia, że kamień sam w sobie jest piękny, okazywały się nieskuteczne, ozdobniki musiały być. Pana Zdzisława zachęcałem do prostoty kompozycji i zdarzało się, że moje pomysły uwzględniał. Nie odczuł nigdy mojej presji. Dawali-



Il. 3. Dyskusja nad kapliczką Zdzisława Misiewicza, fot. Jerzy Binkowski

śmy sobie pełną wolność w prezentacji myślenia i naszych opinii. Prawdopodobnie czułem, jak bardzo jestem zainteresowany jego kolejnymi działaniami. Martwił się, że wykuwane przez niego litery są nieładne. Wspierałem najszczerzym zachwytem: „Panie Zdzisławie, Pana kulfony potwierdzają prostotę i autentyczność tego, co Pan robi”.



Il. 4. Zdzisław Misiewicz przy wykonywaniu pomnika, fot. Jerzy Binkowski

Zdzisław Misiewicz podkreśla wdzięczność wobec mnie szczególnie za to, że dotarłem do osób i instytucji, dzięki którym poszerzył się krąg ludzi dostrzegających jego działalność, ofiarność na rzecz pobożności, bogobojności. Moje „krążenie” wokół niego i sposób nagłośnienia podniosły prestiż jego pracy i jej owoców w oczach lokalnej społeczności. Uczestnictwo wielu ludzi we Mszach św. polowych obaj spostrzegamy jako powód do dumy i radości. Pan Zdzisław

stworzył „kościół napowietrzny”, ja zaś odczułem, że wreszcie poprawiła się moja więź z tutejszymi „aborygenami”.

Pan Zdzisław Misiewicz i Pani Sołtysowa wsi Wyłudy porozumieli się. To ona, młoda i dynamiczna kobieta, chce, aby duchowość katolicka była widzialna co najmniej raz w roku. Msza święta polowa będzie ukoronowaniem nabożeństw majowych.

Na zakończenie: duchowość jest zawsze znakiem obecności duszy w tym, co robimy i jak żyjemy. Zdarza się, iż są fazy w życiu, że człowiek żyje tak, jakby duszy nie miał. Są takie chwile, kiedy człowiek żyje z duszą za pan brat. Wtedy widoczna jest duchowość chrześcijanina – wyznawcy Jezusa Chrystusa.

Zakończę swą balladę – opowieść o duchowości niekiedy widzialnej, a kiedy indziej zupełnie niewidzialnej – wierszem, w którym językiem poetyckim próbuję objąć egzystencjalne doświadczenie.

Rozważania siedemdziesięcioletniego mężczyzny

Dąb stał a kora opadała wokół pnia
gdy Rysio Skibicki z Janowa podjechał pod drzewo
Warknął ostrą piłą jak zły buldog
opadające iskry sypnęły niczym krew
Płonęły dni miesiące i lata jak fale o zachodzie słońca
gałęzie na szczycie zieleńiły się
Siedemdziesięcioletni mężczyzna zapadał się
głębiej niż dotąd w korę – w skórę – w siebie
Widzi tropy nut na trawie
i ślady stóp na niebie
Ten ogląd orła jastrzębia żurawia
poszerza granice wyznaczone ciężarem ciała
Odgarnia ze skroni białe mgły i wszystkie anioły
granica sama podchodzi do gardła
Rozważania mężczyzny są uśmiechnięte
usta pełne czereśni obok zapachu poziomek
Nie widać tego czego nie widać